



P. II - 376



GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy“ Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARSZAWA, DNIA 24 LISTOPADA 1923 ROKU.

Szanse reformy walutowej.

Dnia 30.X b. r., usłyszeliśmy z ust obecnego ministra Skarbu p. Kucharskiego, że z początkiem stycznia 1924 r. nastąpi wycofanie marek według „stosownej“ relacji, czyli dokona się pełna reforma walutowa. Wypuszczoną ma być „stała jednostka monetarna“ (?!), która swoją stałością ma dać „gwarancję realności dochodów“. Realność więc budżetu rzekomo równoważonego ma gwarantować reforma walutowa.

Z wielu stron zwracano już uwagę na nierealność preliminarza budżetowego na 1924 r. W dziale wydatków wytknięto zbyt mechaniczne obciążenia. W dziale dochodów widać nie mniejsze złudzenia. Ogółem preliminarz przewiduje 1,112 milionów złotych dochodu. Przyjmując okrągło 25 milionów mieszkańców, którzy mają w ciągu 1924 r. złożyć 1 miliard złotych dla skarbu, otrzymujemy 40 złotych obciążenia rocznego daniami na głowę. Jak to wykonać, skoro wartość obiegu marek nie wynosi w tej chwili więcej niż 50 milionów złotych, czyli zaledwie 2 złote na głowę?

Znany to fakt z teorii i z praktyki, że wysokość rocznych wpływów skarbowych nie może być wielokrotnością ogółu środków płatniczych, będących w ręku społeczeństwa. Wyjawszy Anglię, gdzie obieg czekowy wyręcza obieg gotówki, nigdzie przed ostatnią wojną roczny dochód skarbu nie przekraczał 100% ilości gotówki będącej w obiegu. Jakże u nas 50 milionów złotych zdoła wydzielić dla skarbu 1 miliard dochodów? Jakże mieszkańców Polski, mając zaledwie 2 złote przypadającej na

gotówki obiegowej, zdoła wpłacić do skarbu 40 złotych w ciągu roku? Jest to zadanie wybitnie akrobatyczne i roczniki skarbo-wości nigdy i nigdzie dotychczas nie zanotowały takiej sztuki. Jeżeli sztuka ta uda się p. Kucharskiemu, a w interesie Kraju należałoby sobie tego życzyć, to dowiemy się wreszcie, czemu p. Kucharski chce być dla skarbu. Oświadczył, że nie jest ani lekarzem, ani znachorem, chociaż skarb właśnie sanacji potrzebuje. Oby więc stał się cudotwórcą...

Nasze sfery gospodarcze, zorganizowane w t. zw. popularnie Lewiathanie, złożyły dnia 21 lutego 1923 r. w Belwederze memoriał poświęcony zagadnieniom skarbowym. W punkcie 8 czytaliśmy wówczas: „zrównoważenie budżetu przy najdalej (!) idących podatkach wobec istniejącego stanu hiperinflacji jest niemożliwe“... ze względu na wytkniętą w punkcie 3 memoriału „tak mizerną wartość naszego pieniężnego obiegu“, który wówczas wynosił „25 milionów dolarów“, a miał wydzielić aż „180 milionów dolarów“. Organ Lewiathana „Przegląd Gospodarczy“ pisał jeszcze 1 września 1923 r., że „postulat blizkiego zrównoważenia dochodów i wydatków państwowych jest nie-realny (!), nawet przy najdalej (!) posuniętych oszczędnościach budżetowych“. Z tych względów sfery gospodarcze słusznie kładły nacisk na konieczność uprzedniego nasycenia rynku kapitałem pieniężnym, licząc przedewszystkiem na pożyczkę zagraniczną.

Obecnie te same sfery traktują poważnie budżet p. Kucharskiego i popierają plan „niezwłocznej“ reformy walutowej¹⁾. Jest to dowód krótkiej pamięci, gdyż uważają za realne to, co nie było realnem przed kilku miesiącami, chociaż pożyczka zagraniczna leży jeszcze w sferze fantazji i stan nasycenia rynku kapitałem pieniężnym pogorszył się, zamiast poprawić. Jeżeli w lutym „25 milionów dolarów“ nie mogło wydzielić w ciągu roku 1 miljarda złotych dochodu, to jakże dokona tej sztuki 10 milionów dolarów?

Mimowoli przypomina się przysłowie, że tonący brzytwy się chwyta. Przerażeni katastrofą inflacyjną przestajemy panować nad nerwami i chcemy wbrew logice i wbrew doświadczeniu ryzykować „niezwłoczną“ reformę walutową, chociaż nie mamy pod ręką ani rezerw kasowych, ani pożyczki zagranicznej, czyli grozi nam nagły przeskok ze stanu nadmiernej inflacji do stanu równie nadmiernej deflacji. Czem to byłoby dla stosunków gospodarczych pojmie łatwo ten, kto wie, że istota inflacji polega nie tyle na astronomicznych cyfrach emisji, ile na zwicnięciu równowagi w rozkładzie dochodu społecznego, a tego środki techniczne z dnia na dzień nie potrafią przekształcić.

¹⁾ „Przegląd Gospodarczy“ z. I.XI 1923, mowa posła Wierzbickiego.

Nierealność planu p. Kucharskiego przejawia się z innej jeszcze strony. Wiadomo, na przykład zgóry, że gospodarka skarbowa w 1923 r. nie zostawi żadnych nadwyżek kasowych na rok następny. Zaliczka na podatek majątkowy pokryje w najlepszym wypadku deficyt czwartego kwartału, chociaż i to więcej, niż wątpliwe, ponieważ reklamowanie tej zaliczki z trybuny sejmowej okazało się łatwiejsze, niż ściągnięcie. Przyjdzie więc 1 stycznia 1924 r., a na pokrycie wydatków osobowych, płatnych zgóry, nie będzie ani oszczędności z roku ubiegłego, ani pożyczki zagranicznej, ani wewnętrznej, ani żadnego innego środka wyjątkowego. Dochody zaś styczniowe będą wpływać dopiero stopniowo, ponieważ „pierwszy“ obowiązuje tylko w wydatkach. Czem skarb pokryje kilkadziesiąt milionów złotych na 1 stycznia?

Nie idzie oto, czy sytuacja na 1 stycznia będzie istotnie tak wyglądać. Idzie o przedstawienie obrazowe, że równowaga kasowa miesięczna i równowaga roczna budżetu to nie są zjawiska identyczne. Mając równowagę budżetową na papierze i mając nawet szanse osiągnięcia jej faktycznie w ciągu roku, można mimo to przewalić się z nową walutą na wstępie drogi, ponieważ w jednym lub drugim miesiącu *zabraknie równowagi kasowej*. I dlatego zamiar emisji od Nowego Roku waluty nowej i „stałej“ jest objawem gorączki, a nie trzeźwego oceniania warunków.

Reforma waluty po faktycznym osiągnięciu równowagi byłaby jako plan, czemś realnem. Ta sama reforma na początku przyszłego roku, gdy równowaga jest dopiero na papierze i nie uległa sprawdzeniu w praktyce, jest ryzykiem. Tem bardziej, jeżeli dopiero ta reforma ma być „gwarancją (!) realności dochodów“. Budżet ma gwarantować realność nowej waluty, a nowa waluta realność budżetu. Jest to postawienie kwestji na głowie, albowiem zależność przyczynowa i z punktu widzenia teorii i z punktu widzenia praktyki jest jednostronną: tylko budżet swoją równowagą może gwarantować stałość waluty, a nie odwrotnie. Jeżeli bowiem brak równowagi budżetowej, to skarb musi rozporządzać kredytem zewnętrznym lub wewnętrznym, aby utrzymać kurs nowej waluty na poziomie parytetu.

Plan p. Kucharskiego słusznie „woli się odwołać do patryjotycznej opinii publicznej i zejść na drogę oparcia się o własne siły w dzisiejszym momencie“. W tym jednak momencie „dzisiejszym“, chociaż zniknęły przedwczesne miraży dolarowe, nadal rząd ignoruje zwaloryzowany kredyt wewnętrzny skarbu, a równowaga budżetowa jest zaledwie preliminarzem na... papierze. Gdzież więc warunki dla „niezwłocznej“ i pełnej reformy walutowej?

Przy uznaniu nawet ambicji oszczędnościowych p. Kucharskiego muszę stwierdzić, że ostatni jego plan z 30.X, o ile

w międzyczasie nie ulegnie zmianie lub Opatrzność nie ześle dość szybko pożyczki zagranicznej, wisi w powietrzu, jest pisany palcem na wodzie. Można ignorować opinię fachowców zagranicznych, można lekceważyć wskazania nauki, można zamykać oczy na doświadczenia historii, można być głuchym na przykłady współczesne, ale takim tupetem nie przekreśli się praw życia gospodarczego, które są silniejsze od wszelkich pałków partyjnych.

Nie pomoże nawet pieczęć Lewiathana!

Jeżeli preliminarz budżetowy jest istotnie realny, nie potrzeba się spieszyć z reformą, nawet lepiej jest z nią poczekać, aż zahamowanie inflacji skarbowej i stabilizacja kursu marki odbudują oszczędności i kredyt, a rynek nasyci się kapitałem, aby przeskok z inflacji do deflacji nie groził złamaniem karku.

Jeżeli nie wierzy się w realność preliminarzy, to tem bardziej nie wolno ryzykować losu nowej waluty i sprowadzać jej zgóry do roli środka technicznego, który ma „gwarantować“, jak mówił p. Kucharski, realność dochodów skarbowych. Rolę taką bowiem, o ile budżet okaże się w praktyce nierealny, nowa waluta będzie mogła pełnić tylko za cenę stopniowego deprecjonowania się, a więc z choroby wpadniemy w recydywę.

Trudno zachwycać się terapią, która taką recydywę zapowiada. Czy jest wskazaniem—społeczeństwu, które przeszło już tyle zawodów i rozczarowań, raz jeszcze stwarzać nowe fata... Morgana?

Powie ktoś na to, że wprowadzie po konwersji znajdzie się w obiegu nie więcej niż 150 milionów złotych, ale natomiast bank emisyjny, mając podkład kruszcowy i dewizowy w tej wysokości, będzie mógł zaraz wypuścić 3 — 4 razy większą ilość biletów, dając im zabezpieczenie dodatkowe w wekslach. Teoretycznie wygląda to imponująco. W praktyce efekt może być całkiem inny.

Po pierwsze nie zapominajmy, że gwarancją dla stałości kursu jest nie procent pokrycia kruszcowego, ale wymienialność banknotów na kruszec. Tego mieć nie będziemy. Po drugie emisja na podkład weksłowy nie jest równie zdrowa, jak emisja na podkład kruszcowy. Emisja pod weksle, jeżeli jest udzielaniem kredytu z pod prasy drukarskiej, a nie z oszczędności, czyli z dochodów nieskonsumowanych, przedstawia nic więcej jak tylko łagodniejszą formę inflacji. Jeżeli np. w ciągu miesiąca emisja wzrośnie o 100%, to musi to zaważyć na sile nabywczej nowej waluty, chociażby podkładem były najbardziej solidne weksle.

Rynek nasz, według zgodnych obliczeń Adamczewskiego, Lułka, Fajansa i innych, potrzebuje co najmniej 1 miljarda złotych, aby aparat gospodarczy mógł być zdrowy, rozwijać się i wydzielić z siebie również 1 miliard dochodów skarbowych w ciągu roku. Przy obecnej wartości obiegu markowego, nie

przekraczającej 50 — 60 milionów złotych, tempo emisji nowej waluty na podkład wekslowy musiałyby być bardzo szybkie, aby nasycenie rynku uzupełniało się należycie i nie doszło do katastrofy deflacyjnej. Rynek będzie musiał gwałtownie wchłaniać kredyt z banku emisyjnego, kredyt z pod prasy drukarskiej.

Staniemy przed dylematem: albo zastój gospodarczy i spadek wydajności płatniczej społeczeństwa z powodu nagłej deflacji, albo szybkie nasycenie rynku przez gwałtowne tempo kredytu emisyjnego. Z konieczności będziemy musieli puścić cugle kredytu emisyjnego, a wówczas wyłoni się znowu zhora deprecjacji, jako owoc gwałtownego wzrostu emisji w krótkich odstępach czasu. *Kwestja tempa* będzie kwestją decydującą. Zamiast więc inflacji skarbowej zjawi się inflacja kredytowa. Nie kijem go, lecz pałką. Zamiast tańczyć na prawo, rozpoczniemy na lewo, ale błędne koło pozostanie błędnem kołem.

Gwałtowne rozszerzanie skali obiegu nie może być lekarstwem na gwałtowne skurczenie tego obiegu. W obu wypadkach można się dostać z deszczu pod rynnę.

Szansa pełnej reformy walutowej, zapowiedzianej niestety oficjalnie na styczeń 1924 r., są więcej niż kruche, właściwie są żadne. Co zaś należy robić, nie miejsce rozwozić się w aktualnym artykule. Czynię to w książce, która p. t. „Walka o naprawę skarbu“ ukaże się w najbliższym czasie na półkach. Z jakiegokolwiek jednak strony spojrzymy na zagadnienie, nasuwa się *konieczność stworzenia etapu przejściowego*, konieczność jakiegoś moratorium inflacyjnego, zanim do pełnej reformy walutowej przystąpimy.

Jeżeli są środki, aby ryzyko pełnej reformy walutowej podejmować, to środki te będą aż nadto dostateczne, aby *bez ryzyka* stworzyć przejściowe moratorium, t. zn. zahamować inflację skarbową, stabilizować kurs marki i zwiększyć nasycenie pieniężne rynku. Czy nie bezpieczniej więc stworzyć takie moratorium, aniżeli ryzykować przedwczesną i pełną reformę waluty?

Jeżeli po kilku miesiącach takiego moratorium dostaniemy odpowiednią pożyczkę zagraniczną, to wogóle z reformą walutową nie trzeba będzie się spieszyć i zdrowiej będzie iść naprzód drogą już udeptaną przez doświadczenia Austrii. Jeżeli natomiast takiej pożyczki nie dostaniemy, to ryzyko reformy walutowej i tak nam nie ucieknie, ale podejmiemy je wówczas z czystym sumieniem, że poprzednio wyczerpaliśmy wszelkie środki przygotowawcze.

Przed dwoma laty, gdy destrukcja kapitału pieniężnego nie była jeszcze tak wielka, ryzyko przedwczesnej reformy walutowej było znacznie mniejsze. Nie groziła nagła i zbyt wielka deflacja, a dodatni wpływ psychologiczny na masy mógł znakomicie ułatwić politykę podatkową. Dzisiaj sytuacja uległa takiemu pogorszeniu, zwłaszcza w ostatnich miesiącach ciągłych zmian osób i programów, że ryzyko reformy bez uprzedniego

przygotowania gruntu równa się skakaniu przez okno, nie wiedząc z jakiej wysokości. A najciekawsze to, że do takiego skoku popychają właśnie te sfery, które przez 5 lat ostrzegały przed ryzykiem przedwczesnej reformy walutowej, uważając taką reformę za największe nieszczęście.

Feliks Młynarski.

Roman Dmowski.

Dmowski uchodzi w szerokiej opinii za męża czynu i za głębokiego polityka realnego. Oba te tytuły są oparte na złudzeniu. *Leader* endecji jest o wiele więcej człowiekiem poży niż czynu. Nie jest także politykiem realnym, gdyż mało rozumie i odczuwa czynniki współczesnego życia zbiorowego. Był wprawdzie czas, kiedy p. Dmowski wstępował w szranki walki politycznej z pewnym zapałem, z ideą. Razem z dr. K. Dłuskim redagował w Paryżu *Przegląd Socjalistyczny*, w którym myśl narodowa łączyła się z socjalistyczną. W parę lat potem założył *Przegląd Wszechpolski* o kierunku demokratycznym, nie przeciwstawiającym się socjalizmowi narodowemu.

Wszystko to *tempi passati*. Późniejszy mąż stanu poszedł zgoła inną drogą. Czy studiował rozwój stosunków i sił w Europie, oraz we własnej ojczyźnie? Czy z tych rozważań wysnuwał wskazania polityczne?

Z książek i artykułów p. Dmowskiego nie widać, iżby ich autor łamał sobie głowę nad współczesnymi problematami. Jednakże na swój sposób poświęcał on wiele pracy, aby stać się polskim mężem stanu.

Niewiele interesował się kwestjami społecznymi i politycznymi, a zajmował się o wiele więcej wystudjowaniem tego co uważał za zewnętrzną fizjognomję prawdziwego polityka, przyswajał sobie jego postawę, sposoby mówienia i imponowania, jego ruchy i gesty. Ulegając swym upodobaniom, niewiadomo skąd płynącym, Dmowski modelował się na typ polityka konserwatywnego i wielkiego pana, któryby książętom i hrabiom polskim mógł zaimponować nie tylko talentami i fachową znajomością, lecz także pogardą dla nowożytnych przesądów wolnościowych i nieubłaganym, wyzywającym antydemokratyzmem.

Do właściwości p. Dmowskiego należy duża zdolność aktorska. Nie pożałował pracy i rolę swą wystudjował starannie, sam uwierzył w swą misję surowego piastuna i rycerza rodowej i narodowej tradycji. Nie zdołał jednak całkowicie wpoić tego przekonania w żywioły, o które mu przedewszystkiem chodziło. Jakkolwiek oceniały one życzliwie działalność polityczną Dmowskiego, patrzyły jednak nieco podejrzliwie na metody i maniere dumnego arystokraty z ulicy Wołowej i nie chciały pójść pod jego komendę. A gorącym pragnieniem p. Dmowskiego było

zlikwidowanie „stronnictwa polityki realnej“ zarówno jak i narodowej demokracji i złączenie ich w jednym „stronnictwie narodowym“. Rzec się nie udało, wynikły kwasy i p. Dmowski napisał filipikę, w której obwieścił bankructwo konserwatyizmu polskiego, skutkiem jakoby zwycięskiej infiltracji masonów.

Poza konserwatyizmu p. Dmowskiego miała zapewne źródło nie w samych jego rachubach taktycznych, lecz i w upodobaniach. Już w średnim wieku robił on wrażenie człowieka starego, co więcej, szukał w tem pewnego zadowolenia. Zapewne uważał, że mu z tem, jako poważnemu politykowi, do twarzy.

O poglądach i dążeniach politycznych p. Dmowskiego niepodobna mówić na serjo. Widzimy go ustawicznie na cudzych podwórkach, wykładającego z miną mistrza naukę polityczną zacięcie zwalczanych dawniejszych przeciwników. Na widownię polityczną na schyłku zeszłego stulecia wystąpił p. Dmowski jako stanowczy przeciwnik ugodowców i moskalofilów. Przeszło lat kilka i z temiż ugodowcami dawniejszy ich pogromca urządził manifestacje moskalofilskie i zjazdy słowiańskie, jakich nawet nie bywało poprzednio. Nawrócony na „realizm“ dawniejszy niepodległościowiec stanął na czele Koła Polskiego w Dumie. Szkoda tracić słów na ocenę tej „polityki“, która była jednym pasmem daremnych umizgów do rządu Stolypina i październikowców, oraz dotkliwych upokorzeń dla całego Koła. Rzekomy realizm p. Dmowskiego robił nad Nową ustawiczne fiasko.

Za to u nas święcił naogół tryumfy. Warszawie imponowała jego poza wytrawnego, chłodnego męża stanu, jego demonstracyjna pewność siebie i pogardliwa arogancja z jaką traktował przeciwników i oponentów.

A strona rzeczowa polityki, jej treść? O tej nie było prawie mowy na wielkich zgromadzeniach w Filharmonji, ani na zebraniach relacyjnych. Tłum sympatyków endeckich nigdy nie szukał w mowach swego *leadera* treści, a ów *leader* wiedział, jak go oczarować. Jego przemówienia składały się właściwie z samej pozy, z wyrażania pewności siebie, ze zwycięskich giestów i z pogroźek pod adresem przeciwników. Zresztą p. Dmowski, z wyjątkiem pierwszego okresu swej działalności, siedział na wózku, który toczył się łatwo; skoro odgadł rzeczywisty nastrój „społeczeństwa“, wnet się do niego przystosowywał. W tych warunkach nie potrzebował się trudzić nad zjednywaniem ludzi do swej polityki, a mógł zwrócić starania ku temu, aby wpoił w nich przekonanie, że on sam jest wielkim mężem stanu. Pracowała zresztą w tym kierunku wytrwale niestrudzona reklama prasy partyjnej.

W ostatnich latach przed wojną Dmowski, który wciąż nadawał kierunek polityce i prasie endeckiej, wzmocnił jej kurs moskalofilski do *nee plus ultra*. Wtedy to wyłoniła się z ideologii endeckiej teoria, że niepodległość Polski jest hasłem anti

narodowein (!!)) oraz wymysłem żydów, masonów i nnych naszych wrogów, że interes Polski łączy ją nierozzerwalnie z Rosją. Przez cały pierwszy rok wojny, p. Dmowski miewał w Resursie Obywatelskiej przemówienia polityczne, na których wykładał zebrany endekom i ich sympatykom tę teorię. A ci oczywiście podziwiali rozum i niezrównany realizm swego wodza. Dodajmy dla ścisłości, że o autonomji napomykano wtedy zaledwie półgębkiem, gdyż realizm jest skromny i nie naśladuje owej Andzi, co to się napierała.

Na kongresie pokojowym pp. Dmowski i Paderewski, jak to dziś dokumentalnie wiadomo, dopuścili się wielu błędów i zaniedbań (np. w sprawie mniejszości) „Byłem świadkiem — pisze w swych wspomnieniach dr. K. Dluski — jak jeden z wielkich mężów stanu angielskich, a mianowicie Balfur, na pewnym arystokratycznym obiedzie drwił nielada z p. Dmowskiego, wywołując wesołe uśmiechy na twarzach biesiadników, jeden zaś z najwplywszych polityków francuskich już w maju w rozmowie ze mną podkreślał, iż p. Dmowski powinien być usunięty z Konferencji Pokojowej, gdyż przez swą reputację reakcjonisty i antysemitę jest dla sprawy Polski szkodliwy“.

Po wojnie p. Dmowski nie spieszył do kraju, stosunki były jeszcze bardzo niewyklarowane, a on zapewne chciał przyjść do gotowego. Wprawdzie powołują się jego wielbiciele i zwolennicy na choroby oraz na prace kongresowe, ale to tłumaczenie zgola nie wystarcza. P. Dmowski stracił poprostu nerw polityczny, co później stało się dla wszystkich widoczne.

Zrozumiał zapewne, że jego typ konserwatywnego polityka, który wystudjował z takim zamiłowaniem, w powojennej Europie i we współczesnej Polsce, nie znajdzie właściwego zastosowania. Zrozumiał też, że z taką obskurancą i ordynarną hałastą, jak jego partja, niepodobna prowadzić na dłuższą metę żadnej konsekwentnej polityki i niepodobna jej pokazać cywilizowanemu zachodowi.

Cóż więc robić? Nazajutrz po swym powrocie do kraju Dmowski nosił się z pewnemi zamiarami zreorganizowania i ucywilizowania endecji, lecz dał za wygraną, gdy się rozejrzył w sytuacji. Dla oczyszczenia takiej stajni Augiasza trzeba by z dziesięciu Herkulesów, a tu niema nawet jednego. Dmowski zawiele operował na głupocie ludzkiej i obecnie jest zblazowanym sceptykiem. Liczy już przytem prawie sześćdziesiątkę i ma nadzarpane zdrowie.

Chociaż demagogja i niekulturalność Chjeny nie przypada mu do smaku i nie zgadza się z jego konserwatywną koncepcją, musi brać ją taką, jaką jest i jechać na jej demagogicznym wózku. Nic więc dziwnego, iż dzisiaj traktuje swą rolę polityczną, jak pańszczyznę.

Oddawna partja domaga się, aby wódz nie trwał w bezczynności, aby rzucał myśli i działał. Na łamach odnowionego

Przeglądu Wszehpolskiego Dmowski zabrał głos w przedmiocie stosunku Polski do Niemiec i Rosji, lecz zdobył się tylko na powtórzenie starych przedwojennych komunałów. Odezwał się po to tylko, aby pokazać, że właściwie nie ma nic do powiedzenia.

Co zrobił *de facto* Dmowski? Widzieliśmy, że w działalności politycznej przechodził na podwórko swych przeciwników i poddawał się panującemu nastrojowi. To już dostatecznie określa rolę jego, jako rzekomego inicjatora i autora programów narodowych. Był pozatem głównym organizatorem endecji. Ale, jak wiemy, od lat wielu jest zdegustowany do tego dzieła i kilkakrotnie już przed wojną i po wojnie chciał ją przerobić lub zlikwidować. Z całej literatury p. Dmowskiego bodaj największą wartość ma niewielka praca z przed lat blisko 30-tu: „Młodzież polska w zaborze rosyjskim“.

Bez względu wszakże, jak rozumiemy i oceniamy rozreklamowaną wielkość Dmowskiego, w obecnym czasie jest on dla endecji i prawicy tylko firmą. Ile z tej firmy da się jeszcze wyciągnąć, to już rzecz taktyki partyjnej i dla interesu ogólnego nie posiada szerszego znaczenia.

Scius.

Zanim sami odpowiemy na artykuł p. posła Niedziałkowskiego polemizujący z Głosem Prawdy w sprawie zajętego przez nas stanowiska po wypadkach krakowskich w artykule p. t. „Krew darmo“ udzielamy głosu jednemu z działaczy P. P. S., kierując się z jednej strony obowiązkiem gościnności, a z drugiej chęcią wszechstronnego wyświetlenia problemu żywo interesującego cały obóz demokracji polskiej.

A jednak darmo.

„Demokracja polska umiała zawsze w teorii należycie rozwiązywać najzawilsze społeczno-narodowe problemy, z całą jasnością wykazując, że niemasz polityki i pracy narodowej bez udziału ludu, lecz nigdy nie potrafiła tego aksjomatu wcielić w życie: przełamać klasowego egoizmu stanu posiadającego; nie umiała jąć się radykalnych środków, do których zastosowania dawały jej prawo względy na dobro narodu i żądania elementarnej sprawiedliwości w stosunku do mas ludowych. Przyczyną tego rozdzwiewku między teorią, a praktyką było sławetne hasło „jedności narodowej“ — innymi słowy: strach przed zrażeniem klas posiadających“.

Tadeusz Hołówko, Widnokrąg, 17.7 1915, artykuł „Przeklęte fatum“.

„Rozwiewają się iluzje. Życie społeczne staje w świetle ostrej walki klasowej. Stronica historii naszej, na której wypisano w tytule „porozumienie klas“ zamknięta. Otworzyła się stronica nowa, a nagłówek jej głosi:—walka klas!“.

Poseł Zygmunt Zaremba, „Zagadnień polityki socjalistycznej w Polsce“

Zabierając po raz pierwszy głos na łamach pisma, z którym dotychczas zgoła nie współpracowałem, a którego redakcja łaskawie udziela mi gościny w związku z wszczętą przez tow.

Niedziałkowskiego polemiką na temat artykułu ob. Stpiczyńskiego p. t. „Krew darmo“¹⁾ — chciałbym na wstępie poczynić kilka uwag natury formalnej.

Nie należę do grona najbliższych przyjaciół „Głosu Prawdy“: jestem czynnym od lat kilku w robotniczym ruchu zawodowym i politycznym socjalistą; ideologicznie zbliżony więc jestem raczej do obozu, który Wy, towarzyszu Niedziałkowski, reprezentujecie, niżli do tych, którzy mi dziś udzielają gościny, a których z taką wyższością zaliczacie do „grupek inteligencji radykalnej“.

Zgóry zaznaczam, że na całej niemal linii podzielałam ocenę wypadków krakowskich i roli, jaką w nich odegrali przywódcy P. P. S., ocenę, którą w kilka zaledwie dni po tych pamiętnych wydarzeniach wypowiedział tu ob. Stpiczyński. Rzeczą, która najbardziej mnie uderzyła w „odpowiedzi“ tow. Niedziałkowskiego było owo, efektowne niewątpliwie, lecz jakże nierzeczowe porównanie sądu ob. Stpiczyńskiego do roli owego „militarnego sprawozdawcy dziennika“; „źle jest — powiada tow. N., gdy (on) dyktuje wskazania ludziom, stojącym w okopach“.

Mojem zdaniem, jest rzeczą wprost śmieszną, gdy ludziom, stojącym zewnątrz organizacji nie będącej przecie własnością „sztabu partji“, t. j. szczupłego grona przywódców, wybitny parlamentarzysta socjalistyczny odmawia prawa krytyki posunąć tej partji na podstawie tak błyskotliwego choćby, jak powyższe, porównania. Wydaje mi się, że tow. N. w swej zjadliwej i naprawdę „poirytowanej“ replice na spokojny, rzeczowy zarówno w tonie, jak i treści artykuł ob. Stpiczyńskiego, którego wywody wywołały poważne refleksje wśród wielu myślących czynnych socjalistów polskich, kierował się pewną fałszywie pojętą obawą przed krytyką w obliczu wroga. Co do mnie jednak, to — choćby tak i nie było, choćbym się nawet mylił w tem przypuszczeniu — zastrzec się muszą zgóry, że — daleki od „nałogów myślenia racjonalistycznego“ — *prawo krytyki* uważam za podstawę wszelkich naszych poczynań, za istotę „lekceważonej jakoby przez „naszą inteligencję“ demokracji.

I w tem właśnie, że ta rzetelna, nie cofająca się przed potępiającą oceną własnych bodaj posunąć, *samokrytyka* budzi się w łonie naszej lewicy, która aż do P. P. S. włącznie umiała dotychczas „ustępować krok za krokiem“²⁾ nacierającej coraz śmielej reakcji — w tem widzę zadatek radykalnego zwrotu w całości kształcie naszych stosunków na przyszłość.

Niewątpliwie w zarzutach tow. N. jest i pewna doza racji

¹⁾ Por. „Głos Prawdy“ Nr. 10; „Robotnik“, Nr. 313, z 16 b. m.: M. Niedziałkowski: Zycziwe rady przyjaciół.

²⁾ Wyrażenie ob. Andrzeja Struga w przemówieniu na Akademii P. O. W. w Muz. Przem. i Handlu.

odnośnie do stanowiska części naszej inteligencji, która do dziś dnia stoi poza ruchem robotniczym. Jest to jednak wynik szeregu przyczyn obiektywnych, które zdaniem moim maleć i zanikać będą stopniowo w toku czekających cały polski Świat Pracy wspólnych walk — o wspólne cele. Nie tu miejsce na omawianie tego niezmiernie skądinąd doniosłego zagadnienia. Jedno atoli jest pewne: rekryminacje — w stylu i tonie tow. N. — rekryminacje, wywołujące jawną radość we wrogich nam szeregach¹⁾, nie położą kresu istniejącym rozbieżnościom, nie przyspieszą bynajmniej ani na jotę procesu krystalizowania się świadomości klasowej w „pewnych kołach naszej inteligencji“.

Wszystko to nie może tedy służyć za argument przeciw zasadniczej diagnozie, jaką postawił tu ob. Stpiczyński. Głos jego był dalszym tylko akordem w zgodnym chórze *samokrytyki*, którą zapoczątkował niedawno swym pamiętnym artykułem w *Drodze* (Nr. 6 — 7) „Strach przed władzą“ tow. Hołówko, dowodząc w ten sposób, że słusznie zarzucany jest całej lewicy brak zdecydowania, ustepliwość, będąca pomostem do owładnięcia sterem rządów przez reakcję, że cechy te są też właściwością P. P. S. Samokrytyce tej dał też wyraz w swem przemówieniu na Akademii P. O. W.—ceniony przez demokratyczny ogół polski pisarz tej miary co ob. Andrzej Strug, stojący co prawda, równie jak ob. Stpiczyński, poza P. P. S.

Tem niemniej są to, jak zaznaczyłem, głosy *samokrytyki*, albowiem ludzie ci zbyt mocno zrosli się w szeregu wspólnych z kierownikami P. P. S. poczynañ, z tą „awangardą“ polskiej lewicy, jak P. P. S. nazywa tow. Hołówko. by słowa ich, poddyktowane serdeczną troską o realizację wspólnych celów, za co innego mogły być uważane. Zresztą ruch robotniczy nie jest dziś synonimem pepeesowej tylko sprawy, jest on — w dzisiejszem stadium wydarzeń — wyrazicielem Nowego Życia całej myślącej i pracującej Polski, to znaczy wszystkich tych, którym droga jest sprawa wyzwolenia jej z niewoli gospodarczej i poniżenia moralnego, w jakie wtrącił kraj nasz rząd dzisiejszy.

* * *

Pozwoliłem sobie nieco więcej miejsca, niż pierwotnie zamierzałem, poświęcić tej formalnej stronie; sądzę jednak, że zasługuje ona na to, że niepodrzedną bynajmniej posiada dla nas wagę. Skądinąd argumenty, z nią związane, stanowią jądro repliki tow. Niedziałkowskiego. Przejdźmy jednak do rozpatrzenia tej drobnej jego — w porównaniu z całym artykułem części — która zawiera polemikę z meritum zarzutów, stawianych przez ob. Stpiczyńskiego kierownictwu P. P. S.

¹⁾ Taki np. Nowaczyński wyje poprostu z radości z racji „lekcji“, jaką P. P. S. dała „zdegenerowanej, zhistryzowanej i zawiedzionej Piłsudczyźnie“ (Rzeczpospolita z 16 b. m.).

Zarzuca tow. N. ob. Stpiczyńskiemu „dwa typowe błędy logiczne“: „Przedewszystkiem z tego, iż pewne walki społeczne przed rozbiorami niepotrzebnie prowadziły do ugody, nie wynika wcale, że każda likwidowana być musi ostatecznem zwycięstwem jednego odcłamu“.

Nieściskość, tow. Niedziakowski! Albowiem z toku rozumowania ob. Stpiczyńskiego bynajmniej nie wynika, żeby jego zdaniem *każda* likwidowana akcja oznaczała zwycięstwo jednego odcłamu. Przeciwnie, mówi się tam wyraźnie, że zlikwidowanie tej *konkretnej* walki uświęconej krwią ofiar krakowskich, cofnięcie się w trzech czwartych przebytej drogi, w chwili, gdy Czerwony Znak potępionej przez Nowaczyńskich i Lutosańskich żywołowej rebelji robotniczej powiewał nad Krakowem — *takie odwołanie* strajku przez przywódców P. P. S. „na dwie minuty przed ostatecznem zwycięstwem“ — oznacza „rzucenie w masy robotnicze ziarna zawodu i goryczy“, oznacza zwycięstwo naszych klasowych wrogów!

Idźmyż jednak dalej! Tow. N. żąda dowodów na poparcie tezy, że przedłużenie strajku o 24 godziny oznaczałoby upadek znienawidzonego przez całe społeczeństwo polskie rządu.

W przytoczeniu tych dowodów pozwolę sobie wyręczyć ob. red. Stpiczyńskiego. Przyjdzie to mi bez trudu. Kto tak, jak piszący te słowa, miał sposobność przypatrywać się bezpośrednio żadnym czynu masom na wiecach przedstrejkowych i strejkowych, na wiecach urządzanych choćby przez „inteligenczką“ P. O. W. przy współudziale... postów socjalistycznych, kto widział w niedzielę, 4 listopada, przodowników P. P. S., stojących na baczność i oddających honory, w sposób służbowo przepisany tłumowi robotniczemu, śpiewającemu „Czerwony Sztandar“ — po wiecu na podwórzu domu robotniczego (Leszno 53), ten nie będzie długo szukał dowodów, których żąda „mędrca szkiełko i oko“. Potężny nastrój mas, ich zahartowana w ogniu przeciwieństw wola walki — oto były żelazne gwarancje zwycięstwa akcji, która przecie pod ich parciem wybuchła.

Pamiętam jak na jednym ze wspomnianych tu wieców tow. Szpotański mówił o tym potężnym kapitale zaufania mas, którym rozporządza lewica, mówił o bezwzględnej walce, która nas czeka; pamiętam, jak wówczas odezwał się głos jakiegoś sceptyka z kąta sali: a nie cofnięcie się znowu? Nikt jednak niemal nie wierzył w możliwość cofnięcia się, gdy na każdym kroku podnoszono — i słusznie — konieczność podjęcia rzuconej przez reakcję rękawicy.

A jednak... „Jednak przywódcy socjalizmu polskiego zlekli się „odpowiedzialności“ — tego, jak mówi tow. N., „wielkiego słowa“. Tam zaś, „gdzie socjalizm boi się odpowiedzialności, przychodzi faszyzm“, mówiąc słowami cytowanego przez tow. N.—Hilferdinga. Faszyzm polski tryumfujący z nadspodziewanego

zwycięstwa, iaszyzm z dzikim śmiechem wydrwiwający niemoc i tchórzostwo tych, co z nim zmierzyć się ponoć chcieli.

„Sztab partji“ okazał się sztabem kunktatorów, obliczającym przed każdym krokiem jego skutki“ i, jak Kordjan — szlachetny rewolucjonista—fantasta, niezdolnym do szybkiej decyzji, cechującej wodza, który chce zwyciężyć. „Nic się nie zmieniło, nic się przecie wielkiego nie stało. Lekka sprzeczka przywódców i trochę krwi szeregowców. Krew polską wylewać darmo. Nagrodzi się ją uroczystym pogrzebem i celującą mową parlamentarną, nagrodzi ją bluff patos i frazes niedołącznych leaderów“.

Mowa posła Marka, wygłoszona w Sejmie w tymże dniu, w którym *Robotnik* publikował niewczesną replikę posła Niedz., w sposób aż nadto dobitny potwierdziła sąd ob. Stpiczyńskiego. „Półtoragodzinne przemówienie tow. Marka—pisał nazajutrz centralny organ partji—było *prawdziwym arcydziełem krasomówstwa*“.

Pod względem merytorycznym afoi był to jeden długi szereg cofańców, wobec których błędnie końcowy frazes o podjęciu walki. Leitmotiwem całego świetnie, jak się rzekło skonstruowanego przemówienia — było sumitowanie się przed endecstwem, że to nie partja socjalistyczna ten strejk wywołała. Ależ naturalnie, wiemy o tem, aż nadto dobrze, że reakcja łże, bo żyje z łgarstwa i blagi: do strejku party masy, przewodcy — trzeba to powiedzieć głośno i wyraźnie — studzili ich zapał, odciągali je raczej od akcji, niż parli do niej.

Pocóż więc te uroczyste zapewnienia, że strejk był *ekonomiczny*, a—broń Boże—*nie polityczny*! Toć mało już jest w Polsce ludzi tak naiwnych, którzyby wierzyli w to, że życie można tak... poszufladkować: tu sprawy polityczne, a tam ekonomiczne. Toć każdy rozumie, że dzisiejsza sytuacja gospodarcza, która wywołała ten ruch protestu wśród najmniej nawet klasowo uświadomionych mas, jest niewątpliwie funkcjonalnie, organicznie powiązana z rządami Chjeno-Witosa; że świętym obowiązkiem Socjalizmu Polskiego było poprowadzić masy do tej walki uświadomić im dalsze jej cele, a nie hamować akcję, będącą w pełnym—choć nieskoordowanym jeszcze należycie biegu.

Toć za *zastugę*, a nie za *winę* poczytałoby społeczeństwo polskie P. P. S. wzięcie na swe barki inicjatywy i wypowiedzenie walki temu rządowi. Rządowi, który dla polskiego obozu pracy zwłaszcza jest wyrazem dążeń sytego chłopca — zdrajcy demokracji (Witos), synonimem najpodlejszego służalstwa i zaprzaństwa narodowego (Dmowski), wykładnikiem interesów giełdźdźiarzy i spekulantów węglowych (Korfanty).

Tak jest, tow. Niedziałkowski, trzeba umieć „rozumować w kategoriach społeczno-gospodarczych“, w kategoriach djalektycznego marksizmu.

Przypomnijcie sobie, własne, wypowiedziane ongiś na łamach „inteligenckiego“ *Widnokregu* (3.8.1915, „Zawody i doświadczenia“) słowa: „Zemściło się na nas pięćdziesięcioletnie

zwężanie skali aspiracji i pragnień, ale pono nadeszła godzina, w której *dopłynię do celu ten, kto się ośmieli płynąć pełnym morzem i rozpiąć wszystkie żagle*“.

Z. Oskierko.

Proces por. Bagińskiego i ppor. Wieczorkiewicza.

Wojskowy sąd okręgowy w Warszawie¹ rozpatruje sprawę dwóch oficerów W. P. oskarżonych o najcięższe przestępstwo, jakie może ciążyć na sumieniu obywatela, tem więcej żołnierza — działania na szkodę państwa i przeciwko państwu. Serce polskie pragnęłoby, by z ławy oskarżonych powstałi oczyszczeni. Sprawozdawca *Kurjera Polskiego*, który to pierwszy powiedział dowiódł głębi uczucia obywatelskiego i szlachetności myśli. Oby miał rację. Lecz może są winni, może zbłądzili i zasłużyli na karę? Sąd wyda wyrok i nie jest naszą rzeczą, ani prawm zakłócać mu bezstronność i bezpośredniość wnioskowania.

Chodzi nam tylko o stanowcze potępienie szantażu uprawianego przez prasę przeciwnego nam obozu politycznego. Ta bowiem prasa, która uważa za szczyt obowiązku narodowego, oplwać własny naród w najbrzydszy i najrozgłośniejszy sposób od dłuższego już czasu usiłuje *a priori* przyjęte zbrodnie dwóch oskarżonych młodzieńców przypisać całemu obozowi polskiej demokracji, a przedewszystkiem niewygodnym w normalnych warunkach życia „peowianom”, „belwedurakom”, legionistom etc. Ciemniejszemu społeczeństwu podsuwa się następujący lekkostrawny wywód logiczny: ponieważ por. Bagiński i ppor. Wieczorkiewicz należeli przed kilku laty do Polskiej Organizacji Wojskowej, przeto ewentualne ich przewinienia dzisiejsze obciążają wszystkich b. peowiaków, legionistów, ich sympatyków ideowych, całą lewicę, no i oczywiście kogoś stojącego nad nimi, kogoś, dla tych panów, wielkością autorytetu istotnie niebezpiecznego.

Gdyby pionierzy tak uproszczonego metodą Berlina sposobu rozumowania patrzyli nieco ponad poziom własnego nosa, przeraziłiby się sami tej potwornie przerażającej koncepcji i musiałyby zadrzeć pod ich patrijotycznymi brzuchami rachityczne nogi i zadrzeć nie o byle co, bo własne wrażliwe gardła. Niewątpliwie tragiczny byłby ich los, gdyby te niezliczone rzesze na wszystko gotowych, legionistów „peowianów”, „belweduraków”, i „pepesiusiaków” schowali po dwie bomby i 2 metry grubszego postronka do kieszeni każdy i bez względu na pogodę ruszyli ławą robić jeneralne „porządki”. Bóg łaskaw na nich, że stworzył więcej osłów niż proroków, i że o oni sami nie należą do rzędu tych ostatnich. Proroctwo ich bowiem uwieńczone by było śmiercią męczeńską.

W sprawie por. Bagińskiego i ppor. Wieczorkiewicza musimy narazie ustalić jeden tylko fakt, a mianowicie: kto zwróci uwagę na ich działalność noszącą cechy przestępstwa, kto ją poddał obserwacji i obydwoh oskarżonych oddał w ręce sprawiedliwości? Wymieniamy ich z nazwiska: podpułkownik Ścieżyński, major Starzyński, kapitan Hauke-Nowak, porucznik Urbaniec i komisarz policji Piątkiewicz — wszyscy byli legjoniści. Nie kto inny właśnie jak „peowiany“ i „belweduraki“ oddali w ręce prokuratorji swoich byłych towarzyszków broni, gdy w sumieniach ich zrodziła się uzasadniona wątpliwość, czy oskarżeni nie złamali przysięgi żołnierskiej i nie stali się, miast obrońców — szkodnikami Rzeczypospolitej. Nie śledziennik Zamorski, nie „cymbał grzmiący“ Nowaczyński, nie katanonik Lutosławski, nie Sadzewicz i Junosza Bzdowski, ale Ścieżyński, Starzyński, Hauke-Nowak, Urbaniec i Piątkiewicz stali, stoją i stać będą czujnie na posterunku obrońców państwa, w wojnie i pokoju, w dobie burz i dniach pracowitego wypoczynku.

W. Stp.

Qui pro quo.

Każdy okres dziejów ludzkich streszcza się w jakichś krótkich słowach oświetlających dobitnie jego historyczną rolę, kierunek jego aspiracji i teren najbliższych zdobyczy. Tak już jest i tak, czy ktoś chce lub nie chce, pozostanie. W Polsce wieku XX zwyczaj ten zastosowano nie do całego okresu dziejów, który, ledwo rozpoczęty na nowo, przeżyje zapewne nas wszystkich, nim ustąpi miejsca swemu następcy—oby złotemu, zastosowano do wszystkich niemal często się zmieniających rządów. Mieliśmy więc już rząd: „ludowy“, „obrony państwa“, „konieczności państwowych“, „naprawy Rzeczypospolitej“, mieliśmy również rządy notorycznych niedołęgów, no i mamy wreszcie dzisiaj nam panującą kooperatywę ministrów urzędujących w permanencji. Jak go określić?... w jakim zamknąć go symbolu?... jakie przypisać mu właściwości?

Najwłaściwiej niewątpliwie byłoby nazwać go—rządem teorii Einsteina, bowiem jako niepewny i chwiejny jest on istotnie klasycznym przykładem względności, relatywizmu. Byłoby to jednak określenie zbyt ściśle naukowe i wkraczające w gospodarstwo literackie znakomitego polskiego einsteinisty Bruno Winawera, byśmy mogli się nim posłużyć. Sądźmy więc, że najbliższem prawdy i najwłaściwszem będzie nazwanie tego gabinetu — rządem *qui pro quo*.

Jego skład personalny, związki stronnictw wspierających go w Sejmie, rezultat jego działalności, jego obecność na arenie historii—czyż to wszystko razem nie jest wielkiem *qui pro quo*? Lewiatan z Chadecją, Piasek z Dubadecją, Wincenty z Korfantym, Osiecki z Chłapowskim; ...Seyda na Wierzbowej, Szeptycki pod Blachą, Czikiel na Wawelu, przy skarbie Kucharski... cóż za okropne *qui pro quo*? P. Stasinek Grabski z Russkich szablą w dłoni na straży oświaty... sam p. Roman Dmowski śpiewa „powrót taty“... Polską trzęsie Swolkień z Szezerbińskim pospołu... Polska drży w posadach, rządowi wesóło—czyż to nie straszne *qui pro quo*? Ten napis winien widnieć na ścianach klubów sejmowych stronnictw rządzących, nad gabinetami ministrów, na pierwszej stronie prasy rządowej, powinien przypominać wszystkim aktorom dramatu politycznego, na jaki od kilku miesięcy patrzą coraz niecierpliwiej oczy społeczeństwa, że są oni jednym wielkim nieporozumieniem i do nieporozumień prowadzić państwo muszą.

I jakby na szykanę, dla ironji, jak dzika złośliwość chochoła — w sercu stolicy widniał ten symboliczny napis... nad przybytkiem śmiechu, laboratorium zdrowia publicznego, nad świątynią humoru krzesanego z satyry politycznej, z niewinnego żartu, z dobrze podpatrzonych śmieszności życia. To straszne dla rządu „Qui pro quo” widniało nad teatrykiem i ze szpałt prasy było niemilosiernie w oczy ludzi, którzy musieli to uważać za szykanę osobistą.

Gabinet pierwszej edycji — na szpałtach prasy: „Dziś. — Qui pro quo”; pierwsze: usprawienie „Powtórzenie premjery — Qui pro quo” Usprawienie drugie: „Wieczór śmiechu — Qui pro quo”, i wreszcie usprawienie ostateczne: „Wykiwali samego djabła — Qui pro quo”... Dość!! Zawrzało, zahuczało, połał się potok żółci, atramentu, zadrgały druty telefoniczne... dość! — zamknąć ten straszny teatryk, zamalować bezczelny napis, zamknąć śmiech do więzienia... nie wolno się śmiać, nie wolno się bawić... nie pozwalamy... }

I nie pozwolili. Zamknęli, tłómacząc się po sztubacku, że teatryk, który ma sześć wyjść jest groźniejszy dla bezpieczeństwa publicznego od rządu, który wogóle nie ma już żadnego wyjścia. Bo cóżby to było gdyby zreczna nóżka obywatelki Pogorzelskiej, lub Ordonówny zawadziła o gabinet bez wyjścia i przewróciła go jak domek z kart? Do czegożby mogło dojść, gdyby Gierasieński zagrał na swej katarynce karmanjolę, i rozbawiony tłum zacząłby ją tańczyć na ulicach stolicy?...

Więc zamknęli. Chcemy wierzyć, że nie ministrowie, nie rząd... na to są jednak zbyt poważni. Zamknęli ci dwudziestoczworogodzinni dygnitarze drugiej klasy rozpierający się po salonach ministerjalnych, darmowych łóżach teatralnych i gabinetach restauracyjnych, ci poławiacze blasków władzy i zakulisowi macherzy tak skwapliwie nadużywający na rachunek swych szefów atrybucji piastowanych chwilowo urzędów, zamknęli pp. Szczerbińscy, Swolnienie *et tutti quanti* chłoptasie w długich majtasach.

Jakże trafnie zastosowano do nich w ostatniej reuette Qui pro quo lapidarny dwuwiersz:

„Bo tam gdzie tryska wielki szczery śmiech
Tam być nadętym durniem — wielki grzech”.

W. S.

P. S. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że p. minister Robót Publicznych przyciął łapki pp. Szczerbińskim. Zamknijcie Qui pro quo wstrzymano.

TREŚĆ № 11-ego: Szanse reformy walutowej. *Feliks Młynarski.* — Roman Dmowski. *Sciūs.* — A jednak darmo. *Z. Oskierko.* — Proces por. Bańskiego i ppor. Wiczorkiewicza *W. Stp.* Qui pro quo *w. s.*

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie 120.000 Mk., kwartalnie 360.000 Mk. Zagranicą kwartalnie 540.000 Mk. Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 3283.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Druk. Spółki Wydawniczej Powszechnej Szpitalna 1.

<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA IBL

P. II. 376

1923

N. 1-12